

Hymn niemych



ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

Hymn niemych

Więc jeszcze opowiedzieć ci inną bajeczkę? — rzekł, pijąc pocałunkami z jej ust ten czar, którego nigdy wypić nie mógł. — Dobrze, posłuchaj:

Kiedy przed począciem się świata wypełniały przestrzeń tylko mgły, kręczone siłą twórczą w niezliczonych i splątanych wirach, część tych obłoków powoli skropliła się i utworzyła ocean. W jego wnętrzu powstały rozmaite twory, a między nimi olbrzymi żółw, który wypłynął na powierzchnię wód i spoczął na nich. Jego wypukła pokrywa, obok rozległych płaszczysz, równych i chropowatych, mieściła wielkie wyniosłości, przepaściste głębiny, obszerne wydrążenia i bruzdy, w które ściekała skroplona z chmur para, tworząc morza i rzeki. Skorupa ta obrosła tu i owdzie szczecinią trzciny, krzewów i drzew, a wreszcie zarośli się istotami żywymi.

Była to ziemia.

Opasał ją obręczą, zrodzony również w łonie przedwiecznego oceanu, wąż, który usiłując zgnieść żółwia, pęknął w nadmiernym wytężeniu i rozlał się naokoło ziemi szerokim płynnym kręgiem.

Była to rzeka Styks, oddzielająca świat żywych od świata umarłych.

Po za nią spał zastygły i skrzepły ocean, okryty bezbrzeżnym płaszczem lodowym, na którym w miejscach szczęścia lub męczarni osiadły duchy, a w przybytkach napowietrznych — panujący nad nimi i ziemią bogowie. W krainie tej nie było ciepła, tylko światło, nie było woni, tylko barwy.

Język ludzki zwał tę krainę Hadesem.

Za każdym razem, kiedy promienne oko wszechświata przymknęło swoją powiekę, po stromej ścianie skał schodziły duchy ku przystani Styksu, w której oczekiwała na nie łódź Charona.

*

Ziemia zatrzęsała się walką ludzi, zabrzmiała okrzykami radości i jękami cierpienia. Ale wiatry zmiotły wkrótce wrzawę dzikich i żalonych głosów, po której na lekkich skrzydłach wypłynęła i nad pobożowiskiem zawisła sowa cisza. Wtedy drogą śmierci do przystani Styksu zszedł dłuższy niż zwykle rząd duchów. Postacie ich były ludzkie, ale powietrzne, choć nieco mętne. Każdy niósł w ręku swoje serce, niby konchę. Z niektórych serc tych wyblyskiwały różnomierne i różnobarwne ogniki, inne były wygasłe.

Duchy w milczeniu weszły do łodzi, którą Charon odepchnął od brzegu. Gęsta, smołista ciecz rzeki nie nadymała się nigdy falą, nie pokrywała zmarszczkami, nie toczyła w swem łożysku, lecz spoczywała leniwa, nieruchoma, martwa. To też gdy po jej czarnym, błyszczącym, rdzawymi smugami spręgowanym grzbiecie przesunął się statek przewoźnika cieniów, wyorał na niej swym klinowym dnem szeroką bruzdę, która natychmiast zamknęła się za nim w gładką powierzchnię bez żadnej blizny.

Łódź stanęła przy bramie w wysokim murze lodowców, świecących luną zorzy. Na progu jej leżał i całkiem wejście przegradzał olbrzymi, kudłaty, trójgłowy pies, Cerber, który powstał, zawył paszczami w trzy strony i napełnił swym straszonym rykiem cały Hades. Na ten głos przybiegł Ajakos, klucznik, który powiodł za sobą duchy przez łąkę, porosłą sinymi igiełkami mrozu. U jej skraju przeciwległego w poprzek drogi czterej tytani dźwigali na barkach lodowy, puchem śniegu wysłany tron, na którym siedział w purpurze sędzia umarłych, Minos. Na dole, pod jego stopami, stanęli dwaj uskrzydleni

młodzieńcy, którzy równocześnie zlecieli z dwu przeciwnych stron. Jeden z nich piękny, w labędziej białości, był posłem nieba, drugi, szpetny, kruczą czarnością okryty — posłem piekła.

Skoro duchy zatrzymały się przed tronem, Minos, wskazując berłem szronowem każdą postać, rozdzielił je na dwie grupy: w jedną zgarnął te, które niosły serca z płomykami, w drugą te, które miały niegorejące.

Wtedy do ostatnich przystąpił młodzieniec czarny, otworzył każdemu piersi, włożył w nie z dłoni serce, odkręcił oczy źrenicami ku tyłowi, zapalił nad głową światełko, które rozwidniło wnętrze cienia i powiodł wszystkie drogą ku piekłu, gdzie wiecznie wpatrywać się będą w siebie, niczego więcej nie widząc.

Inny młodzieniec zwrócił się do drugiej rzeszy i poprowadził ją w kierunku nieba. Tuż za tronem Minosa, Leta, rzeka zapomnienia, przesuwając swój płynny kryształ bezskażonej gładkości w ramach zielonej murawy lodowej. Podczas gdy przewodnik szedł powierzchnią zwierciadła wody, duchy opadły w głąb i postępowały jej dnem. Wynurzywszy się z tej kąpieli, stanęły zmienione: nie miały już w swych postaciach mętów żadnych, lecz były tak niepokalanie przezroczyste, że niemal rozplywały się w powietrzu, a płomyki ich serc, teraz brylantowo lśniących i przejrzystych, migwały w niem, jak gdyby oderwane.

Nieopodal od brzegu w łagodnym pochyleniu piętrzyły się szerokie schody z wstęgą tęczy, wiodące do wspaniałego przybytku w kształcie otoku, którego ściany, ogromnym kołem biegące, składały się ze zmierzłych kropelek rosy. Nad odkrytym jego wierzchem wisiało wysoko u błękitu słońce, którego strugi światła, rozlewając się po perełkach zrębu, migotały w nich niezliczoną ilością barw i blasków, sprawiając wrażenie, jak gdyby ów przybytek gorzał.

Duchy weszły po schodach aż do jego podwojów, w których ukazał się odziany szatą z olśniewających gwiazd dzierganą, uroczym i wspaniałym Apollo. Wziął on im z ręki serca, położył je w złocistą czarę, odłamawszy przedtem od nich ogniki, które w jego palcach natychmiast wydłużyły się w cieniutkie promienie — i rzucił ten pęk rzesz świetlnych w oko słońca, gdzie one utkwily i wzmogły jasność przestrzeni. Ruchem migowym duchy skupiły się i utworzyły białawy obłoczek, który wzleciał do góry i utonął w szlaku mlecznym na błękitnie nieba.

Apollo wniósł czarę do przybytku, w którym około sierpa księżycowego, opartego na czterech skrzyżowanych strzałach piorunowych i tworzącego tron, stały w dwu łukach bocznych muzy. Usiadłszy, zaczął wyjmować z naczynia konchy sercowe i przykładać je do ucha, wsłuchując się w ich tajemnicze szumy odgłosów życia. Twarz jego ustawicznie zmieniała swój wyraz, odbijając naprzemiennie to radość wesołą, to boleść głęboką, to zachwyt porywający. Nareszcie rzekł z pogodnym wzruszeniem:

— Dziś duchy przyniosły niebu w swych sercach wielodźwięczny chór uczuć, stłumionych na ziemi. Rozbierzcie te głosy i przelejte je w natchnieniach ludziom żyjącym.

Przy jego słowach źrenica słońca, wpatrująca się w ten obraz ze stropu nieba, jak gdyby zabłysła mocniej i z po za lekkiej, ognistej zasłony, ukazało się zaciekawione i majestatyczne oblicze Zeusa.

Apollo wybrał i podał najbliższej muzie kilka konch, które zaledwie dotknęły jej dłoni, wydały dziwnie rzewny, w westchnienie przeciągnięty, cichy ton. Po przerwie chwilowej odezwały się znowu głosem, który był jak gdyby mową i jak gdyby pieśnią:

„Za pracę naszą dawano nam chleb gorzki i skąpy, który oblewaliśmy łzami w milczeniu ust głodnych, ażeby go nie postradać. Umarliśmy z niedoli, ukrywając jej tajemnicę w sercach naszych.”

Konchy umilkły. Apollo wydobyl inne i wręczył drugiej muzie.

I te, na podobieństwo poprzednich, brzmiały:

„W duszach naszych przebywały widma czarowne i świeciły jutrzeńki myśli, które ploszył lub gasił upiór nocy. Skonaliliśmy, nie otworzywszy serc naszych i nie rzuciwszy na świat ich jasności.”

Kiedy śpiewać przestały, Apollo wyjął z czary innych konch parę i oddał trzeciej muzie. Szeptaly one:

„Serca nasze były podobne do siebie, jako para oczu zawsze jednowidzących i zawsze oddzielonych. Natura spajała je ciągle miłością, a świat rozcinał gwałtem. Odebrał im mowę, ażeby nie skarżyły się na swą krzywdę. Zamknął dwa wulkany i kazał im służyć

za swe piece do ogrzewania jego przesądów. Nigdy też lawa uczuć nie wypłynęła z nich szerokim ujściem, tylko dymiła się wązkiemi szczelinami.”

Ucichły. Apollo powierzył czwartej muzie garść konch innych, które przemówiły:

„Kochaliśmy kawałek ziemi, na której stały kolebki nasze i w której spoczywały trumny przodków naszych; kochaliśmy szacowną przędzę ich życia, pamiątki wysiłków zwyciężskich i prac znoyjnych; kochaliśmy przyrodzone drgnienia warg naszych i ukryliśmy to kochanie w grobach.”

Głos umilkł. Apollo podał kilka konch muzie piątej.

„Miłość nasza — żaliły się one — chciała ogarnąć ludzkość całą, spoić ją węzłami braterstwa i obdarzyć równomierną życzliwością. Musiała wszakże zginąć w zamknięciu serc marzących, gdzie ją z wyciętym językiem uwięziła nienawiść w rodzinie człowieczej.”

Skoro Apollo rozdał muzom z czary resztę konch, które również wylały z siebie w słowach utajone za życia tony, powstał i wstrząsającym głosem zawołał:

— Mądry i sprawiedliwy duchu, który od wieków i na wieki przenikasz ciało wszechświata, wysłuchaj hymnu oniemiałych.

Oblicze w żrenicy słońca wychyliło się jeszcze wyraźniej, a jednocześnie ze wszystkich konch sercowych wzbił się pieśnią uroczysty a zarazem łagodny chór, w którym już nie można było rozpoznać słów, tylko pojedyncze a zestrojone w precyzyjną harmonię dźwięki. Kiedy omdlały ostatnie jego echa, Apollo rzekł:

— Muzy moje, powróćcie ziemi, co z jej łona wyszło i czego stracić nie powinna.

Po Hadesie rozległo się znowu wycie Cerbera.

*

Cała Grecja drżała w gorączce, oczekując uroczystego dnia, w którym na cześć Apollona odbyć się miało wielkie święto, połączone z igrzyskami i turniejem poetów. Już od paru tygodni porządkowano i zdobiono amfiteatr przed świątynią tego boga w Akcyonie. Ze wszech stron kraju ściągali tam liczne gromady ciekawych, pobożnych lub natchnionych — jedni z weselem, drudzy z nadzieją rozrywki, a inni z niepokojem rojeń o sławie. I nie dziwnem było wzruszenie powszechne, bo gody te odbywały się tylko raz na trzy lata.

Wybierało się na nie wielu poetów, a między nimi także Oligos, który zwykł twierdzić, że wszystkie muzy są jego natrętnymi kochankami i który znudzone próżniactwem i rozpustą bogaczki ateńskie łechtał do uśmiechu lub rozczułał do łez swymi wierszami. Zachęcony ich namową, przygotowywał on na popis długą pieśń o miłostkach Herkulesa, które dały początek znakomitym rodowi.

W przeddzień wyjazdu młody jego niewolnik od rana czyścił obfity zapas szat i obuwia. I on marzył o świętym obchodzie, na który miał towarzyszyć panu, i jego duszę przenikały jakieś nieokreślone dreszcze, a tak nim o władnęły, że wypuścił z rąk sandał, którego rzemyki pociągał farbą karminową i utonął w bezwiednym zamyśleniu.

Wieczór zaczął osypywać ziemię zmierzchem, na niebie zaiskrzyły się gwiazdy, jak srebrne gwoźdźce na tarczy Zeusa — a niewolnik wciąż dumał. Nagle zdało mu się w półśnie, że usłyszał szum spadających z góry ku niemu postaci lotnych, że spostrzegł grono pięknych dziewczyc, które stanęły około niego. Trzymały one w rękach jakieś konchy kroju serc, z których zabrzmiał zgodnymi głosami chór upajającego śpiewu. Bezprzytomny niewolnik oczarowanym uchem chwycił tę niebiańską melodyę, która duszę jego pieściła nieznaną dotąd błogością. Wreszcie zamilkła i widzenie zniknęło. Zerwał się, chciał biedz, puścił wzrok daleko, ścigając mary; nie dojrawszy ich wyciągnął ręce ku niebu i tak stęzał, bo znowu zdało mu się, że go moc czarodziejska zamieniła w lirę i wygrywa na niej pieśń niedawno słyszana.

— Dawaj sandały! — krzyknął z progu, i niewolnik się otrzeźwił.

Ale już tej nocy nie usnął. Usłużwszy panu w sypialni, wsunął się, jak cień, do jego pracowni, ukradł kawałek papyrusu i siadłszy przy kaganku w swej izdebce pisał do świtu...

*

Wielotysięczny tłum, złożony ofiary Apollonowi w świątyni, pośpieszył na miejsce igrzysk. Po każdej gonitwie lub zapasach rzucał zwycięzcom garście oklasków. Z kolei rozpoczął się turniej poetów. Wystąpiło czterech: jeden czytał tragedię, drugi — komedię, trzeci — treny, oplakujące poległych w wojnie narodowej, czwarty, Oligos — opowieść o miłostkach Herkulesa. Tłum obdarzył wszystkich głośnie uznaniem, ale żadnego uwielbieniem. Ażeby zaś choć w części nagrodzić im zawód, dano każdemu po gałązce oliwnej z gaju świętego. Odnaczenie to wywołało śmiechy i szyderstwa. Oligos, chcąc przycinkom odłamać ostrze zuchwałym żartem, stanął na podwyższeniu i zawołał:

— Nasze utwory wam się nie podobały; ale był tu jakiś lękliwy poeta, który swój plód poronił, a ja go znalazłem. Ten podrzutek zapewne będzie godnym waszej łaski. Słuchajcie!

Zgromadzeni, którzy już z miejsc powstali, usiedli rozweseleni. On rozwinął zwój i czytał.

Z początku oblatywały tłum głośnie uwagi, następnie szept, wreszcie ułożyła się zupełna cisza, cisza tłumionych oddechów.

I głos Oligosa, naprzód drwiący, zwolna poważniał, a wreszcie stał się uroczystym.

Bezimienny poeta śpiewał hymn niemych. W wyrazach, które huczały jak gromy, oślepiały jak błyskawice lub spadały jak ciepły deszczyk majowy na spieczoną ziemię, opisywał on te uczucia i myśli, które w milionach serc zamierają, nigdy niewypowiedziane.

„Gdyby zebrać razem te zmarnowane krople — mówił w końcu — powstałyby morza, gdyby stopić te iskry, powstałyby słońca, gdyby związać te ruchy, powstałyby potęgi, gdyby skupić te radości, powstałyby szczęścia, a tymczasem człowiek stoi wobec swych losów łaknący, ciemny, bezsilny i nieszczęśliwy.”

Zerwała się burza okrzyków. Z tysięcy piersi buchał ryk zachwytu, z którego ciągle wydzierało się pytanie: kto jest twórcą tego hymnu?

Nikt nie umiał objaśnić i nikt się nie przyznał.

Wtedy tłum po długiej wrzawie postanowił, że uwije wieniec wawrzynowy i spali go na ołtarzu Apollona.

Ruszyła masa ku świątyni, ale u wyjścia zatrzymała się zwarta — zaparło jej bowiem drogę martwe ciało jakiegoś człowieka.

Wkrótce Oligos rozpoznał swego niewolnika, który zmarł nagle.

Kiedy w świątyni Apollona płonął laur nieodszukanego poety, Charon wioził w swej łodzi przez Styks ducha z sercem gorejącym.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/hymn-niemych/>

Tekst opracowany na podstawie: Aleksander Świętochowski, Bajki [Pisma, T. III], G. Gebethner i Spółka, Kraków [1897].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0830-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.